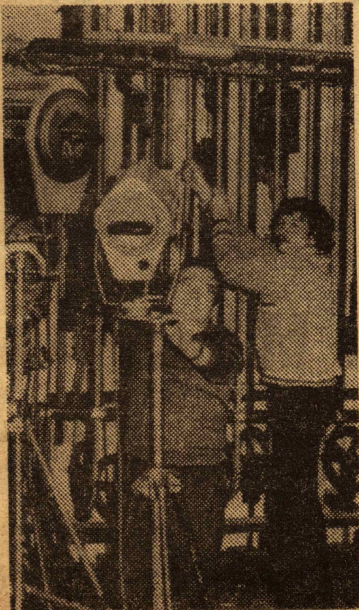
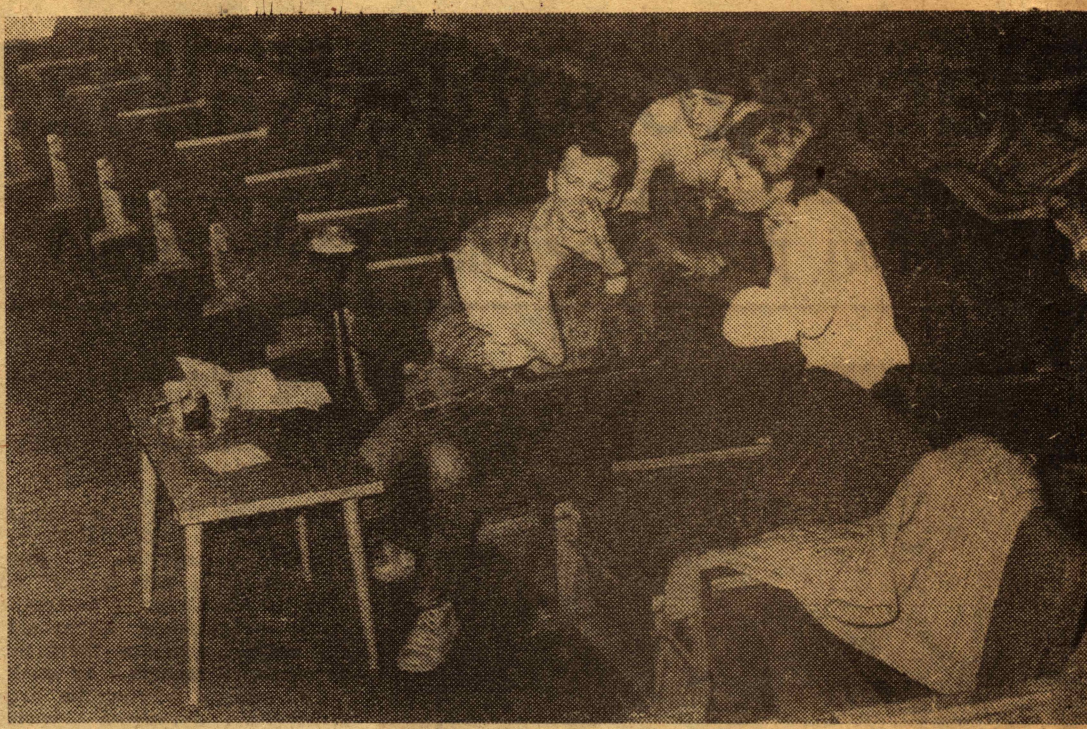




PRZED PREMIERĄ

Za kulisami wszystko wygląda inaczej niż na scenie. Za kulisami wszystko jest szare, brzydkie, zwyczajne. Ten, kto kocha teatr w całej jego umowności, iluzji, tajemniczości — w całym jego uroczym oszustwie — nie powinien nigdy zaglądać za kulisy.

Na scenie przytulny, ciepły salonik, pełen stylowych sprzętów i bibelotów. Tak miły, że chciałoby się w nim zamieszkać. A przecież to tylko dekoracja, nawet kwiaty są sztuczne. Horyzont namalowany na płótnie jeszcze beztrosko powiewa. Jeszcze brak świateł, które rozjaśniłyby teatralne niebo. Pani scenograf, Elżbieta Iwona Dietrich biegnie po scenie z miotłkiem w rękę, a personel techniczny zmaga się z wyciągami, reflektorami...

Garderoby — tu czas się cofa o wiele wieków wstecz. Przed lustrami siedzą panie piękne, jak na starych portretach. Misterne fryzury, złożone z niezliczonych warkoczów i loczków, sukienki pełne wstążek, falbanek, szczypanek. To pani Dobrójska (Barbara Olszańska) i dwie panienki Klara i Aniela (Dorota Karolak i Anna Wesolowska). Panie są już prawie gotowe aby zejść do salonu, tylko włosy trzeba jeszcze trochę poprawić. Fryzjerka niestety wciąż zajęta, bo najwięcej czasu zajmuje jej misterna koafiura Albina (Janusz Grenda).

Za chwilę Albin jest już gotów, przypomina trochę Byrona trochę Puszkina, a jego fryzura to prawdziwe dzieło sztuki. Wesoły Guccio (Marek Skup) także jest już do usług, szuka tylko kapelusza. Tylko Radosz wygląda trochę jakby nie z tego świata, bo Dymitr Hołowko nie zdążył jeszcze ogolić wakacyjnej brody, no i ciągle chodzi w swoich prywatnych okularach. Wszyscy schodzą na scenę, jedynie stary Dobrójski czyli Jan Pyjor spokojnie dopala papierosa.

Zaczyna się próba. Jak się zapewne nietrudno domyślić, są to „Śluby panińskie” A. Fredry, pierwsza premiera Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu w nowym sezonie. Za kilka dni premiera, więc atmosfera, pomalą zaczyna robić się gorąca. Pani dyrektor Romana Próchnicka, która w tym roku objęła kierownictwo teatru kaliskiego, nie opuszcza ani jednej próby.

Reżyser Bogdan Michalik wydaje się być dobrej myśli:

— Ja też kiedyś nie lubiłem Fredry — przyznaje zupełnie szczerze — szkoła nie przygotowała nas zupełnie do czytania tych lektur. Dopiero potem po latach, kiedy sam się zbierałem do Fredry, odkryłem jego cały dowcip. Spodobały mi się te komedie, choć w teatrze — poza jednym wyjątkiem — zwykle się na nich bardzo nudziłem. I dlatego zdecydowałem się sam spróbować. Właśnie teraz, kiedy nie wszedłem jeszcze tak głęboko w teatr, kiedy nie ograniczają mnie jeszcze wszystkie konwencje. Może uda mi się pokazać, co mnie w tym wszystkim bawi. Nie, nie chcę robić teatru dla krytyki. Przeciwnie to ma być przedstawienie dla publiczności. Chciałbym, aby widzowie chwilami śmiali się, a chwilami mieli łezkę w oku. Bo Fredro pisze przecież o rzeczach, które są nam bliskie. Dlatego też umówiliśmy się z panią scenograf, że dekoracje mają podkreślać przede wszystkim polskość — to wszystko, co działa trochę na nasze sentymenty. Bo przecież wszyscy tęsknimy do tradycji (nie, to trochę puste słowo), do tego aby wiedzieć, skąd pochodzimy. Kostiumy też są stylizowane, ale ludzie, którzy je noszą myślą przecież, tak jak my wszyscy współcześnie. Tego nie da się inaczej zrobić. A „Śluby panińskie” to rzecz o uczuciach, o miłości. Kogo z nas to nie interesuje?

Od pierwszych prób przygotowaniom do premiery przypatruje się młodzież. Z tą inicjatywą wystąpiła do szkół pani dyrektor. Początkowo zgłosiła się dość liczna grupa, ale tylko niewielu przychodzi systematycznie. Teraz przed premierą nie ma czasu na rozmowy z młodzieżą, ale za kilka dni na pewno rozwinie się dyskusja. Młodzi teatromani zadeklarowali podobno chęć napisania własnych recenzji. Być może jest to jakaś droga do uatrakcyjnienia szkolnych lektur.

Premiera „Ślubów panińskich” — 24 października.

(BS)

Fot. Z. KANTORSKI

